

Część I

Jak wybrałem wolność...

1

ŻYRANDOL Z BRAZU

Było już ciemno, gdy pielęgniarka weszła do pokoju.

- Proszę się szybko ubierać, przyszli po pana.

Na słabych nogach zszedłem wąskimi schodami i za chwilę w izbie przyjęć szpitalika witałem się z panią Z. i jej siedemnastoletnią córką. Obie znałem z wakacji latem 1942 roku.

- Z dwoma babami będzie bezpieczniej - zażartowała pani Z. - gdyby mój mąż przyszedł po ciebie, wyglądałoby to podejrzenie, dwóch mężczyzn przemykających się pustymi ulicami tuż przed godziną policyjną.

Ruszyliśmy w drogę. Choć okna były zaciemnione, gdzieś tam przeświecało szczelinami. Nieliczne lampy uliczne rzucały stożki siniego światła. Pani Z. ruchem głowy wskazała wzmocniony bunkrem, masywny jak na to miasto budynek po przeciwnej stronie ulicy.

- To nasze gestapo.

Minęliśmy park po lewej, pod drzewami widać było zarysy wojskowych ciężarówek. Domy zaczęły się kurczyć i rzednąć.

- To tu - rzekła pani Z.

Skręt w lewo i weszliśmy do podłużnej, parterowej, murowanej przybudówki, przyklejonej do większego, dwupiętrowego domu obok. Zaledwie drzwi się zamknęły, znalazłem się pośrodku półkola domowników: ojczym, matka, brat, gospodarz i nieznany mi starszy, łysawy, drobny, szary, niepozorny mężczyzna z fajką w ustach. Gospodarz, barczysty, o żywej wyrazistej twarzy, szpakowatych włosach zaczesanych do góry i pociągniętych pomadą, huknął tubalnym głosem:

- Witamy naszego bohatera, powstańca z Warszawy.

Jak zwykle w podobnych okolicznościach, wymieniliśmy uściski oraz pocałunki, po trzy na osobę.

Nie znany mi starszy pan, ściskając moją dłoń wyjął fajkę z ust, uśmiechnął się nieznacznie, bardziej zmarszczkami swej twarzy niż

ustami, i rzekł bezbarwnym głosem:

- Witamy, witamy - po czym włożył fajkę do ust i wydmuchnął kłębuszek dymu. Gospodarz zarzucił mnie pytaniami. Już przy kolacji opadła mnie nieprzeparta senność. Z największym wysiłkiem woli trzymałem oczy otwarte, aby nie sprawić wrażenia człowieka towarzysko nieobytego, choć chwilami nawet nie słyszałem i nie rozumiałem co do mnie mówiono. Samo poczucie bezpieczeństwa usypiało.

Przydzielono mi leżankę w alkwie jadalni, oddzieloną kotarą od reszty pokoju. Świat przestał dla mnie istnieć, zaledwie głowa dotknęła poduszki. Obudziłem się około ósmej rano, zjadłem śniadanie, pogadałem, pokręciłem się po mieszkaniu, wyszedłem na podwórze, popatrzyłem przez okno na ulicę. Nim wybiła dwunasta oczy zaczęły mi się kleić i uciałem sobie dwugodzinną drzemkę. Wkrótce po obiedzie znowu ogarnęła mnie nieprzeparta senność, której nie usiłowałem się przeciwstawić. Ocknąłem się po paru godzinach odświeżony, ale po kolacji, o ósmej, poszedłem do alkwii. W sumie sypiałem około szesnastu godzin dziennie. Po kilku tygodniach poranna „drzemka” zaczęła się skracać, aż wypadła. Potem popołudniowa zaczęła się skracać, aż też wypadła koło Nowego Roku. Bodajże w dniu, w którym przyszedłem do pp. Z., a był to koniec września, dotarła do nas wiadomość o upadku Mokotowa. Jeszcze tydzień temu, w ruinach przyczółka na Czerniakowie, nie miałem innych marzeń jak napić się wody i przeżyć do zachodu słońca, a teraz syty, wylegując się w ciepłym mieszkaniu, czytałem sobie komunikaty z walk na ulicach Warszawy i na frontach reszty świata.

Wkrótce po kapitulacji Warszawy matka pojechała po mojego młodszego brata, Cezarego, do Grodziska (najmłodszy był z nami) i wróciła razem z nim w połowie października. Dostać się do pociągu było niesłychanie trudno. Rozkład jazdy nie obowiązywał, i to nie tylko z powodu bliskości frontu. Tory były często wysadzane lub minowane przez partyzantów. Zwykle wylatywała w powietrze część najbardziej wartościowa z całego składu - lokomotywa. Niemcy uchytrzyli się w ten sposób, że przed lokomotywą doczepiali wagon, którym każdy mógł jechać bez biletu. Liczyli na to, że partyzanci nie podłożą min wiedząc, iż wysadzają Polaków. Podróżujący też musieli na to liczyć, gdyż wagon przed lokomotywą zawsze miał pasażerów.

Po tygodniu matka wróciła razem z bratem. Mieliśmy sobie

wiele do opowiadania. Podczas gdy cała rodzina była w Warszawie, brat przyglądał się powstaniu z okolic Grodziska. Przez dwa miesiące widział tylko dym i przysłuchiwał się odległemu dudnieniu artylerii. Pewnego dnia, pod koniec września, gdy razem z setkami ludzi pracował pod nadzorem Niemców przy kopaniu okopów, strzelanina podniosła się znacznie bliżej, słysząc było broń maszynową. To partyzanci z Puszczy Kampinoskiej przebijali się na południe przez tory kolejowe, gdzie zagroził im drogę pociąg pancerny. Kilku w ubraniach cywilnych wpadło między kopaczy. Zaraz dano im łopaty i w ten sposób ocalili się przed pogonią.

A oto jak mnie udało się wymknąć na wolność. Trasa naszej grupy pod eskortą z kościoła na ulicy Wolskiej zakończyła się w hali obozu rozdzielczego w Pruszkowie, czyli w *durchganglager*. Nie wiedząc, co dalej robić i co mnie czeka, postanowiłem „rozpoznać położenie” i rozejrzeć się po okolicy. Korzystając z tego, że doprowadzono nową grupę cywilów wyciągniętych z Czerniakowa, wziąłem litrową butelkę „herbaty”, dar pań z Czerwonego Krzyża, i gdy inni wchodzili, ja pociągając z butelki minąłem wartownika i wyszedłem na zewnątrz. Wokół były baraki. Mogłem przejść do innego, gdybym wiedział gdzie lepiej. Rozejrzawszy się wróciłem tam, skąd wyszedłem. Nie minęła godzina, gdy podeszła do mnie sanitariuszka z opaską Czerwonego Krzyża. Poznała mnie, choć ja jej nie pamiętałem. „Czy pan wie, że pana rodzice żyją i są tuż obok w baraku dla zwolnionych? Stąd, gdzie pan teraz jest, zdrowych zabierają do Niemiec na roboty i do obozów”. Wziąłem znowu butelkę i popijając z niej, w towarzystwie sanitariuszki wyszedłem z baraku obok strażnika i za chwilę witałem się z rodzicami i bratem. W baraku dla zwolnionych spędziłem trzy dni. Obandażowano mi lewe ramię i dostałem zaświadczenie o zwolnieniu jako chory z podrobionym podpisem dr. Keniga. Ludzie chyba zauważyli, że jestem głuchawy. Ktoś zrobił uwagę, że chłopców co byli na linii poznać po kiepskim słuchu. Frontowemu wilkowi niełatwo udawać cywila. Musiałem uważać na siebie cały czas, aby się nie zdradzić, nie tylko słowem, ale tonem głosu, gestem, postawą. W noweli Flauberta „Salambo” jest taka scena. Kartagińscy najemnicy buntują się, ponieważ nie wypłacono im żołdu. Dowództwo zgadza się wypłacić, aby ich uspokoić. Gdy wieść o tym rozchodzi się, wielu co nigdy nie służyło podszywa się pod żołnierzy. Celem wyłapania oszustów dowództwo zarządza, że każdy roszczący sobie zaległy

żołd ma pojedynczo przemaszerować przed oficerami. Tych, co nie wykazują żołnierskiej postawy, od razu zabija się.

Trzeciego dnia przyjechała do obozu szwajcarska komisja zaproszona przez Niemców. Tegoż dnia opróżniano barak dla zwolnionych. Mijaliśmy SS-mana, który przyglądał się wychodzącym. Dalsza podróż w zatłoczonym wagonie pod strażą trwała całą noc. Teraz, gdy znalazłem się poza niebezpieczeństwem, dostałem wysokiej gorączki i bólu gardła. Niemiec przechodząc zauważył, że ja siedzę a matka stoi i przyczepił się do mnie. Kazał mi ustąpić miejsca matce. Ojczym wytłumaczył, że jestem chory. Za dnia pociąg zatrzymał się w Kielcach, gdzie mieliśmy znajomych. Nie wolno było wychodzić z wagonu, ale kilka osób zeskoczyło na peron. Żołnierz odwrócił się tyłem, aby nie widzieć. Zeszliśmy więc i my. Ze stacji poszedłem do szpitala.

Matkę, ojczyma i najmłodszego brata Niemcy wygarnęli z domu przy ulicy Okrąg 4 i bez większych szykan przetransportowali do obozu w Pruszkowie. Tutaj matka raz najadła się strachu. Właśnie stał obok niej żołnierz w mundurze Wehrmachtu. Czy to na niego jakoś krzywo spojrzała, czy to mu się wydawało, a może w ten sposób chciał zacząć konwersację, bo warknął: „Cego tak się na mnie patsys?” Matka wystraszona zaczęła się tłumaczyć, a żołnierz, wpięty obojętnie, odwrócił się do matki: „Biedne wy Poloki, z jednej strony mata dobrego wuja, z drugiej strony mata dobrego stryja”.

*

Podniecenie spowodowane przyjazdem nieoczekiwanych gości opadło. Życie potoczyło się normalnym okupacyjnym torem. Trzeba było jakoś sobie radzić. Ojczym znalazł pracę w ośrodku zdrowia i przynosił do domu masło, jaja, słoninę i trochę pieniędzy. Już nie musieliśmy objadać gospodarzy, którzy nam tego zresztą nie wymawiali, choć im się nie przelewało. Bracia poszli do szkoły legalnej, gdzie nielegalnie uczono niektórych przedmiotów. Panie, gospodyni z córką i matka, wychodziły rano na zakupy w poszukiwaniu żywności. Czasem wracały z pustymi rękami, ale zawsze pełne nowin. W parę dni po mojej przeprowadzce do państwa Z., bomba spadła na szpitalik, gdzie spędziłem prawie tydzień, kilka osób zginęło. Szpitalik stał blisko dworca kolejowego.

Mój obszar życiowy ograniczał się do wnętrza domu i przyległego podwórza, ogrodzonego dziurawym parkanem obrośniętym chwastami. Dalej, niecałe sto metrów poza parkanem,

stało kilka parterowych baraków służących Niemcom za magazyn żywnościowy. Chodził tam zawsze wartownik z karabinem, podjeżdżały furmanki, ciężarówki.

Czas wolny od snu i zajęć towarzyskich spędzałem czytając co popadło, kręcąc się po podwórzu lub wyglądając przez zamknięte okno na ulicę, gdzie wśród przechodniów było wielu Niemców.

Zwykle pod wieczór wpadali goście, podzielić się wiadomościami ze świata, posłuchać moich opowieści o powstaniu. Zachodziły często dwie dziewczyny, Lidka i Baśka, łączniczki z NSZ. Lidka opowiadała, jak to udało się jej przeniknąć do komórki PPR i jakie znakomite wyżywienie mieli w swojej melinie ci komuniści. Zdumiewała mnie nieostrożność wielu osób, otwarcie mówiono, że ten czy ów należy tu czy tam. Z upływem czasu zacząłem podejrzewać, iż to wszystko było wysrane z palca. Niemniej unikałem rozmów, gdy tematem była konspiracja, aby zbyt dużo nie wiedzieć i aby nie wzbudzić podejrzeń, iż się zbytnio tym interesuję. Jedni żartobliwie, inni złośliwie, przezywali warszawiaków kotami. Wszystko mieli, ale stracili. Miał dom, miał futro, miał fortepian, miał to, miał tamto, miał, miał, miał...

Niemal każdego dnia docierały pocztą pantoflową wieści o działaniach na pobliskim froncie, odległym zaledwie o 50-60 kilometrów. Każda rozmowa zaczynała się albo kończyła przewidywaniami, kiedy ruszy z miejsca. Pewnego dnia ojczym przyniósł wiadomość od pacjenta, który był przy samym froncie. Ów naoczny świadek twierdził, że Niemcy z pni drzewnych wyciosali coś na kształt luf armatnich i zakamuflowali tak jakby to były prawdziwe działa. Rosjanie zrobili to samo i po obu stronach frontu mierzy do siebie drewniana artyleria. Mijały tygodnie, a ja ani razu nie wyszedłem na ulicę. Żandarmeria wciąż legitymowała przechodniów, a mężczyzn, zwłaszcza młodych z warszawską kenkartą zatrzymywała i dokądś wywoziła. Codziennie czytałem podziemną prasę, głównie komunikaty radiowe odbijane na powielaczu, przeglądałem niemieckie magazyny ilustrowane, wypełnione fotografiami z walk na frontach Europy. Utkwiło mi w pamięci zdjęcie poległych Anglików obok kamienia drogowego z napisem „Arnhem 6 km” i twarze żołnierzy niemieckich umacniających płyty pancerne gdzieś na jednej z wysp u wybrzeża Holandii, wypoczętych, świeżych jakby dopiero co wojnę zaczęli. Trzecia Rzesza, waląca się w gruzy w lipcu i sierpniu, we wrześniu jakimś cudem odzyskała siły.

Rosyjskie natarcie na Prusy Wschodnie zostało odparte. Dzień po dniu komunikaty donosiły o ciężkich walkach w rejonie Suwałk i Niemna. Również Amerykanom nie powiodło się przełamanie frontu nad Renem, mimo że wystrzelili pięćdziesiąt tysięcy pocisków na minutę. Zajęli Akwizgran i Strasburg i utknęli. Rosyjski front na Węgrzech posuwał się ślimaczym krokiem. Dzień po dniu Niemcy odpierali natarcia w Przełęczy Dukielskiej. Zima nadchodziła, a końca ani okupacji, ani wojny nie było widać.

Stosunki z gospodarzami układały się poprawnie, co niewątpliwie było osiągnięciem; dwie obce sobie rodziny sfloczono pod jednym dachem. Nie brakowało napięć, ale nigdy nie doszło do otwartych starć. Spotykaliśmy się wszyscy przy kolacji. Gospodarz grał pierwsze skrzypce. On pierwszy sięgał do półmiska wybierając, nie zawsze największy i najlepszy kąsek, ale zawsze pierwszy. Mówił najgłośniej, nie ustępował w dyskusji i przerywał innym bez ceremonii. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że głową naszej rodziny była matka. Gospodarz miał ten niemiły zwyczaj, że gdy mu w ustach utkwiał niepożądany strzęp jedzenia, okruch kości - nie krępując się, z odległości wypluwał go do stojącej na stole popielniczki, czasem trafiając w solniczkę.

Mój brat Cezary przyjechał spod Grodziska w letnich trepkach. Gdy zrobiło się zimno i mokro, dałem mu swoje buty. Używałem ich tylko wychodząc na podwórze, gdy on był w domu. Buty, zdarte od biegania po gruzach przyczółka na Czerniakowie, chłoneły wodę jak gąbka. Gospodarz pożyczył mi piękny zakopiański sweter, który nosiłem cały czas w domu. Musieliśmy oszczędzać węgiel, choć oziębilo się znacznie. Zapowiadano srogą zimą.

Codziennym zajęciem po kolacji było wyszukiwanie wszy. Gnieździły się zwłaszcza w szwach, a puszysty sweter musiał być dla nich prawdziwym rajem. Cezary, którego wszy oblażyły jeszcze w sierpniu przy kopaniu okopów, uważał się za eksperta. Z jego to inicjatywy, ustawivszy pokrywkę od pasty do butów ponad zapaloną świecę, wrzucaliśmy wszy do środka. Cezary twierdził, że w ten sposób wytopi się trochę tłuszczu do smarowania butów. Niektóre wszy wyróżniały się czerwoną kropką na grzbiecie. Zwaliśmy je Czerwonym Krzyżem. Tak je ochrzczono w okopach pod Grodziskiem. Pomimo obfitych połowów każdego wieczora, wszy nie ubywało.

Pierwszego sierpnia 1944 roku rodzice z najmłodszym bratem

pojechali z letniska do Warszawy. Powstanie wybuchło i nie wrócili. Cezary, który liczył piętnaście lat, musiał sam siebie utrzymywać z pracy przy okopach. Niemcy płacili pieniędzmi i spirytusem. Sprzedawał spirytus i jakoś sobie radził.

Po posiłkach odbijało mu się głośno i wielokrotnie. Matka zrazu sądziła, że nabawił się choroby żołądka z powodu niewłaściwego odżywiania, gdy przez dwa i pół miesiąca żył na własną rękę. Wkrótce jednak okazało się, że nauczył się połykać powietrze i celowo wypuszczać je z głośnym beknięciem, jednych doprowadzając do śmiechu, w innych budząc zakłopotanie. Przebywanie w nieodpowiednim towarzystwie przy okopach, zdaniem matki, odbiło się ujemnie na jego manierach.

Gdy już wszystkie wieczorne zajęcia domowe były ukończone, zmywanie talerzy i statków, porządkowanie stołu, bicie wszy, przeczesywanie włosów gęstym grzebieniem, przystępowaliśmy do brydża czy też raczej gadanego brydżyka. Wołałem kibicować. Jeśli zasiadałem do kart, to zwykle wypadałem z gry wcześniej, gdyż między ósmą a dziewiątą ogarniała mnie nieprzeparła senność i wycofywałem się za kotarę do alkowy.

Po kolacji schodzili się sąsiedzi. Wprawdzie nieprzestrzeżenie godziny policyjnej groziło śmiercią, ale na tyłach przyległych domów nie było żadnych zabudowań, panowała tam absolutna ciemność i dało się przejść dziurami w płotach od domu do domu, nie wysuwając się na ulicę. Każdego wieczora wpadał na brydża pan Łysakowski, ów drobny, szary, jakby ulepiony z kurzu, niemłody, choć i nie stary mężczyzna, o cichym bezbarwnym głosie, przeredzonych włosach, z nieodstępną fajką w ustach. Grał spokojnie, z rzadka odzywał się i jak większość karciarzy miał swoje ulubione powiedzonka. Zrzucając blotkę mawiał - malutka jak maczek. Gdy jego partner wahał się czy przebijać atutem, wyjąwszy fajkę z ust doradzał:

- Dziabnij go - zwykle z dodatkiem - malutką jak maczek.

- Ojczym, rodem z Bobrujska, zniecierpliwiony kunktatorstwem któregoś z grających, radził podnosząc głos:

- *Kak z nieczego, tak z bubion.*

Jako dziecko, nie znając jeszcze rosyjskiego, sądziłem że „z bubion” znaczy zgubiony, że jeśli nie masz z czego wyjść, toś zgubiony. Matka i pani Z. nie podchodziły zbyt poważnie do gry i nasłuchiwały się od mężów rad, z których dwie powtarzały się:

- Trzymaj karty przy orderach.
- Wychodź spod wielkiego palca.

Ojczym, gdy jego partnerka popełniała kardynalny błąd, czasem stawiał diagnozę:

- *Babuszka, bielienny ob'jechaś.*

Bielienna, miało to być ziele, po którego spożyciu dostawało się pomieszania zmysłów.

Czasem od ulicy dochodził odgłos kroków w podkutych butach. O niecałe dwieście metrów, przy drodze na Częstochowę, znajdowały się koszary żandarmerii. Zawsze starannie zaciemnialiśmy okna, aby nie sprowokować wizyty.

Brydź nieraz się ciągnął do późna w nocy. Zasypiając, oddzielony tylko kotarą od graczy, jeszcze słyszałem: *dziabnij go... przy orderach..., spod wielkiego palca..., jak z nieczego, tak z bubion.*

Sypiałem jak zabity. Nieraz jednak musiało mi się śnić, że byłem na Starówce. Macałem dokoła szukając karabinu i budziłem się wśród okropnego lęku, że mi go ukradli, że wszyscy się wycofali, że zostałem sam, nie wiedząc gdzie jestem. Czasem światło sączące się z pokoju i głosy graczy uspokajały mnie. Zdarzało mi się też zerwać w nocy pośród najgłębszego snu. Po jakimś czasie zauważyłem, że obudzeniu zawsze towarzyszył odległy warkot ciężkich motorów. W pobliżu znajdował się wojskowy park samochodowy. Ciężarówki wjeżdżające doń z wolna brały ostry zakręt. Warkot dieslowskich motorów na wolnych obrotach przypominał czołgi.

Pan Łysakowski był ważnym gościem z jeszcze innych powodów. Jego córka spała z gestapowcem. Okropnie nad tym bolał, mówiono. Dobrą stroną tego stanu rzeczy było, że córka przynosiła do domu informacje prosto z centrali gestapo na Focha. Niestety, nie było wiadomo, ile jej kochanek wiedział i z tego, co wiedział, ile powiedział.

Przy kartach, przy kolacji, przy biciu wszy, porównywaliśmy wiadomości pochodzące z trzech źródeł: z podziemnej prasy, z miasta i od kochanki gestapowca. Niemcy i żywność, te dwa tematy zaprzętały wszystkie umysły. Jeśli chodzi o pierwszy, nic nie dało się zrobić, więc cała energia koncentrowała się wokół rozwiązywania drugiego problemu. Nawet gdyby się wszystko zjadało, zawsze jakieś tam odpadki pozostały po ośmiu osobach, postanowiliśmy więc

zahodować sobie prosiaka. Z braku chlewu, a także aby nie ściągnąć uwagi Niemców, prosiakowi przydzielono punkt postojowy w komórce piwnicznej. Narzuciliśmy słomy, ogrodziliśmy deskami i liczba mieszkańców wzrosła do dziewięciu. Prosiak pokwikał ilekroć ktoś schodził do piwnicy, zapewne w oczekiwaniu przysmaków. Odpadków nie brakowało, więc rósł jak na drożdżach.

Zafundowaliśmy sobie także żywą indyczkę, miała się znaleźć na stole wigilijny. Ponieważ niewiele czasu pozostało do Bożego Narodzenia, odżywiano ją w trybie przyspieszonym. Należało to do obowiązków niejkiej Janowej, kobieciny już niemłodej, chudej i żylastej, która czasem wyręczała panie wykonując co brudniejsze posługi domowe. Janowa zajęła się tuczeniem indyczki bardzo gorliwie. Zabieg ten wyglądał następująco: Janowa unieruchamiała indyczkę ściskając jej tułów między swoimi kolanami i trzymając jej łeb w lewej garści. Otworzywszy przemocą dziób ptaka, wpychała palcem wielkie kluczy do gardła indyczki, po czym zacisnąwszy dłoń na jej szyi, przesuwiała kluczy w dół przełyku, aż do żołądka. Czasem indyczka siniała przy tych zabiegach. Jednego dnia udusiła się i musieliśmy ją zjeść jeszcze przed świętym Mikołajem.

Ku ogólnemu zaskoczeniu rozlepiono na mieście plakaty wzywające do ochotniczego wstępowania do armii niemieckiej. Miały to być oddziały złożone z Polaków-szeregowców z niemieckimi oficerami i podoficerami. Wziąłem to za dobry znak, nie tyle jako dowód rozpaczliwego położenia Trzeciej Rzeszy, co było oczywiste, ale co ważniejsze jako zapowiedź łagodniejszego kursu wobec ludności polskiej.

W dzień pojawienia się plakatów ojczym dostał się w sam środek łapanki ulicznej. Wypuścili go ze względu na wiek i zawód. Potrzebowali młodych mężczyzn do noszenia ciężkich paczek. Jeden ze złapanych zwrócił się do eskortującego żandarma o zwolnienie - stuknął się w pierś kilkakrotnie palcem mówiąc:

- *Wehrmacht, Wehrmacht.*

Nie pomogło.

- *Wehrmacht morgen* - odparł Niemiec.

Mijały dni podobne jak paciorki. Zwłaszcza moje dni. Palenie w piecu, posiłki, drzemki, bicie wszy, brydzyk. Wyglądanie przez okno na ulicę, wypadki na podwórko, wizyty u prosiaka w piwnicy. I oczywiście nie kończące się dyskusje na temat powstania i frontów Europy. Wkrótce zabrakło mi książek do czytania. Niemniej nuda mi

nie dokuczała, ani tak modne później w literaturze poczucie winy, że się nie zginęło jak inni. Wypełniała mnie radość, że żyję.

Na tym pogodnym niebie pojawiła się jednak chmura. Któregoś dnia opodal niemieckiego magazynu ukazało się kilkadziesiąt osób z łopatami i kilofami. Zaczęli kopać dół. Wkrótce ich liczba wzrosła do kilkuset, praca posuwała się wartko naprzód. Rów przeciwczołgowy pogłębiał się z dnia na dzień, a przed rowem, po stronie skąd można było oczekiwać nadejścia Rosjan, wyrastał wysoki wał ziemi. Do tego czasu wydawało się, że nasz niepozorny parterowy domek u skraju miasta stoi na uboczu, z dala od wielkich wydarzeń. A tu nagle pod samym nosem, o sto metrów zaledwie, budowano fortyfikacje. Przyszłość zarysowała się groźnie. Znaleźliśmy się wewnątrz trójkąta zakreślonego wałem i rowem przeciwczołgowym, magazynem żywnościowym i koszarami żandarmerii. Niech tylko front się zbliży, Niemcy wypędzą wszystkich z domów. Gdyby się na tym skończyło, nie byłoby to jeszcze najgorsze.

Od czasu rozpoczęcia budowy umocnień nie przesiadywałem na podwórzu zbyt długo, aby nie przyciągnąć uwagi Niemców dozorujących roboty.

Mieliśmy czasem gości - wysiedleńców z Warszawy. Raz odwiedziła nas pani w średnim wieku, która pełniła jakąś funkcję gospodarczą przy batalionie Chrobry II w Śródmieściu. Przyniosła wiadomość o śmierci mjr. Sosny, dowódcy mojego batalionu, a potem zgrupowania na Starym Mieście. Był on uwielbiany przez wielu za swoją spokojną odwagę, logiczne myślenie i oszczędzanie krwi żołnierzy. Po raz pierwszy od wyjścia z dymiących ruin przyczółka na Czerniakowie doznałem bólu. W oczach tej pani powstanie było wielkim sukcesem propagandowym, świat będzie podziwiał bohaterstwo Polaków tak jak trzystu Spartan spod Termopil. Najbardziej mnie rozdrażniła opowiadając, ile to tam u Haberbusza mieli cukru, który się w końcu spalił. Pamiętam to dobrze. Trzeciego dnia powstania o świcie przywieźliśmy do browaru na kwaterę dwie zdobyczne platformy załadowane workami z cukrem. A kawę nadal dawano nam nie osłodzoną. Jak to nas wtedy oburzyło, że intendentura schowała cukier na własny użytek.

Jednej nocy nagle szarpnięcie zerwało mnie z leżanki.

- Ubieraj się, ubieraj się, Niemcy wyciągają mężczyzn z domów.

Wysunąłem głowę spoza kotary. Za ledwie świtało. Powoli napływały wiadomości z miasta, głównie od kobiet, które wyszły na ulice. Jeszcze po ciemku wojsko obsadziło całe miasto, co kilkadziesiąt kroków stał żołnierz. Zatrzymywali i legitymowali wszystkich. Zwalniali tylko niewielu mężczyzn w wieku poborowym zatrudnionych w zakładach ważnych dla Niemców. Młodzi z warszawską kenkartą nie mieli żadnej szansy. Ukryty za firanką z ukosa zerkałem na ulicę, przyglądając się nielicznym przechodniom i żołnierzom stojącym wciąż w tym samym miejscu, na rozwidleniu ulic, obok.

Tymczasem inne grupki żołnierzy przeczesywały dom za domem, mieszkanie za mieszkaniem i wygarniały młodych. Nie było się gdzie schować. Naciągnąłem dwie pary kalesonów, kilka koszul i sweter pana Z. Matka przyszykowała mi wałówkę na drogę. Włożyłem buty, które służyły mnie i bratu, dobre dopóki sucho. Panie wyglądały na ulicę i na tyły domów, meldując o postępach operacji.

Żołnierze coraz to eskortowali jezdnią grupy połapanych. Ci, co przeczesywali po tej stronie ulicy, zbliżali się powoli do naszego domu. W pewnej chwili gospodyni zawołała:

- Niemcy na podwórzu...
- Wchodzą do Łysakowskiego.

Prawie jednocześnie Niemcy weszli do kamieniczki z drugiej strony, do której nasza przybudówka przylegała, a także od tyłu, aby nikt się nie wymknął opłotkami. Narzuciłem palto, pożegnałem się. W bezruchu, pośród zupełnej ciszy czekaliśmy na łomotanie do drzwi. Czas już nie dłużył się, ale niemal stanął w miejscu, jak zwykle w takich sytuacjach, i dlatego nie zdałem sobie sprawy, ile minut upłynęło zanim gospodyni, wyjrawszy na podwórze, zawołała:

- Niemców nie ma!

Domyślaliśmy się, że żołnierze, którzy weszli do domu Łysakowskiego po prawej stronie, sądzili że przybudówkę przeszukali ci po lewej, a ci po lewej, iż ci po prawej.

Połapanych mężczyzn spędzono na stadion. Podawano liczbę trzydziestu, a nawet czterdziestu tysięcy. Mieli ich pilnować własowcy. Obie liczby wydawały się przesadzone, biorąc pod uwagę, że cała ludność miasta wynosiła tylko sto kilkanaście tysięcy. Część wyreklamowały niemieckie firmy: kolej, elektrownia. Niektórych zwolniono za łapówki, resztę wywieziono. Rów przeciwczołgowy był już na ukończeniu i swą obecnością przypominał okolicznym

mieszkańcom, że najgorszego może jeszcze nie doświadczyli. Głowiłem się co robić, gdy rozpocznie się rosyjska ofensywa. Uciec do lasu? I tam przeczekać dwa, trzy dni aż front się przetoczy. A jeśli potrwa dłużej, to albo umrę z zimna, albo zabije mnie angina. Zresztą nawet porządnych butów nie miałem. A może przenieść się do Śródmieścia? Front stał zbyt blisko, aby Rosjanom udało się zupełnie rozbić niemiecką obronę, zanim walki obejmą teren miasta. Cała nadzieja była w tym, że Rosjanie jakoś obejdą Kielce, zmuszając Niemców do szybkiego odwrotu. Opracowywałem różne warianty tego co robić, gdy rozlegnie się daleki grzmot artylerii. Wszystkie wydawały się jednocześnie i lepsze, i gorsze od siedzenia na miejscu. Im więcej nad tym się zastanawiałem, tym bardziej w mojej wyobraźni front nabierał podobieństwa do stalowego walca, który miał przetoczyć się po mnie.

Tydzień przed Bożym Narodzeniem dostaliśmy niezwykłą wiadomość: oto Niemcy rozpoczęli wielką ofensywę na Zachodzie i posuwają się naprzód. Wśród brydżystów od razu przeważała opinia, że to „ostatnie podrygi konającej ostrygi”.

Minęły święta i Nowy Rok - ani śniegu, ani Rosjan. Na Sylwestra, podobnie jak w latach poprzednich, wychyliłmy toasty za zwycięskie zakończenie wojny w nadchodzącym roku. Niemcy nie świętowali tak hucznie jak dawniej, o północy padło kilka strzałów i na tym się skończyło.

Wiadomość o ofensywie na Zachodzie zachwiała moje plany ucieczki do lasu. Niemcom zabraknie rezerw. Gdy front pęknie, nie będzie go czym podeprzeć. Walec wojny, zamiast z wolna toczyć się gniotąc wszystko po drodze, pomknie z taką szybkością, że nas przeskoczy. Przesuwały się dni bez wydarzeń, podobne do siebie jak płatki śniegu, który jeszcze nie spadł. Każdy dzień jednak przybliżał rosyjską ofensywę o jeden dzień. Okrążony Budapeszt wciąż się bronił. Wielkie niemieckie uderzenie na Zachodzie utknęło.

Spoza firanek często przyglądałem się ulicy. Kiedyś zdobyły ją kolory złotej jesieni, teraz wszystko wyblakło. Wiatr przerzucał brunatne liście to tu, to tam. Cywile opatuleni czym się dało, bezbarwni, szli wydmuchując obłoczki pary. Jedynie żandarmi, zakwaterowani w pobliskich koszarach, odbijali od ogólnej szarzyzny jaskrawą zielenią mundurów. Mróz zamienił podmokłe podwórze w kamienną grudę. Czołgom będzie się lepiej jechało po zmarzlinie.

Miała się już ku końcowi pierwsza połowa stycznia, gdy miasto

obiegła wieść, że wielka ofensywa zaczęła się. Nowinę przynieśli ci, co podwodami jeździli na wschód, ku Wiśle. Niemcy ich zawracali. Na własne uszy słyszeli ogień artylerii. Minał jeszcze dzień czy dwa i już dobiegło nas odległe dudnienie armat, które zbliżało się, ale także przesunęło bokiem, jakby na południe od Kielc. Miasto zamieniło się w słuch. Córka pana Łysakowskiego przyniosła wieść od kochanka, że sytuacja na froncie jest opanowana i że gestapo pakuje się. Z nadejściem nocy kanonada nieco przycichła. Wczesnym rankiem ktoś wpadł wołając, że Niemców nie ma. Pierwszy raz odważyłem się wysunąć na ulicę. Rzeczywiście, jak daleko wzrok sięgał, ziło pustką - ani munduru. Koszary żandarmerii też były puste, zniknął wartownik przy magazynie żywnościowym. Córka pana Łysakowskiego wyszła poprzedniego dnia wieczorem i nie wróciła. Trudno było zrozumieć, dlaczego Niemcy nie cofali się obok naszego domu na zachód, drogą prowadzącą na Częstochowę, i dlaczego Rosjanie jeszcze nie przyszli, skoro Niemców już nie było. Widocznie odwrót na zachód został już odcięty i Niemcy, korzystając z ciemności, nocą odskoczyli na północ, a my znaleźliśmy się na ziemi niczyjej, Rosjanie wejdą lada chwila. Dudnienie artylerii stało się głośniejsze i dobiegało z różnych kierunków. Ktoś już zajrzał do magazynu, aby upewnić się, że Niemców tam nie ma. Poszedłem i ja. Wory mąki i góry wiecznie świeżego chleba. Był to właściwy czas, żeby się zaopatrzyć, nim tłum nabierze śmiałości i zacznie szabrować. Miejscowi, nie otrzaskani z wojną, siedzieli w domach wystraszeni hukiem. Na nas, warszawiakach, ten hałas nie robił wrażenia. Zarzuciwszy wór na plecy, zaniósłem go do domu z lekka się zataczając, bo ciężki był i kolebał się. Po krótkiej naradzie, całą rodziną, obaj bracia, matka i ojczym, udaliśmy się do baraku, zaopatrzeni w kosz na bieliznę. Podczas gdy ja zająłem się głównie dźwiganiem worów z mąką, najmłodszy brat i matka przenosili w koszu chleb. Ojczym i Cezary też przenieśli po worku. Mnie już po drugim nogi zaczęły trochę dygotać i bracia musieli mnie podpieierać, abym nie padł pod ciężarem. Każdy worek ważył siedemdziesiąt pięć kilo. Ostatni, szósty, miał dziurę, której w porę nie zauważyłem, i nim go doniosłem do domu, prawie połowa wysypała się po drodze. Skończywszy z mąką, bez zwłoki wziąłem się za chleb. Nie było czasu do stracenia, ponieważ coraz więcej osób dołączało, wielu z taczkami, z wózkami, i wkrótce tłum kłębił się przed wąskimi drzwiami, jedynym wejściem do magazynu. Wytworzył się zator.

Jedni pchali się do środka z pustymi rękoma, drudzy z łupem usiłovali wydostać się na zewnątrz. Barczysty chłop w maciejówce przepchnął się przez drzwi magazynu z workiem na plecach. Podskoczyła do niego od tyłu chuderlawa kobiecina, podstawiła miednicę i przecięła worek nożem. Chłop aż zachwiał się, gdy mu nagle ubyło ciężaru. Trochę mąki wpadło do miednicy, reszta rozsypała się wzbijając tuman białego pyłu. Nie można było precyzyjnie się z workiem przez drzwi, które przepuszczały najwyżej dwie osoby naraz. Ludzie wynosili mąkę wiadrami, garnkami, trzymając je ponad głowami, potracając się, rozpychając. Pobielało. Mąka na butach, mąka na głowach, mąka na wąsach, mąka wdeptana w ziemię.

Jeśli chodzi o wyżywienie, to już mogliśmy spokojnie spoglądać w przyszłość. Gospodarze wydawali się być wstrząśnięci widokiem takiego bogactwa i zapewne zawstydzeni, że przez własną ostrożność nie wytknęli nosa z domu i nie wykazali inicjatywy, aż stało się za późno. Tłum przed drzwiami magazynu spęczniał i wszelki ruch do środka i na zewnątrz ustał. Nie wiem, czy zazdrość miotła gospodarzami - miotłaby mną, gdybym był w ich skórze - więc aby ich udobruchać i z wdzięczności za gościnę, daliśmy im dwa worki i kilkadziesiąt bochenków.

Podczas gdy uwaga okolicznych mieszkańców skupiała się na magazynie, matka i obaj bracia, ze mną na czele, pomknęliśmy pośród dudnienia artylerii poprzez wymarłą ulicę do pobliskich koszar żandarmerii. Budka wartownika stała pusta. Butów, pościeli, bielizny już nie było. Rozmontowaliśmy kilka metalowych łóżek i objuczeni, ciągnąc także ze sobą materace z podglówkami, ruszyliśmy w drogę powrotną, uginając się pod ciężarem. Pociski zaczęły nadlatywać ze świstem i błyskając wybuchały w parku, gdzie jeszcze wczoraj stały ciężarówki. Na moją komendę wszyscy padli, rozplaszczając się w płytkim rynsztoku dla lepszej osłony przed odłamkami. Wkrótce ogień przeniósł się gdzie indziej, choć świst nie ustawał. Na moją komendę rodzina poderwała się i obolali od dźwigania, ale uszczęśliwieni nową zdobyczą dopadliśmy domu.

Można było tylko odgadywać, dlaczego artyleria ostrzeliwała pusty niemiecki park samochodowy. Czyżby Rosjanie nie wiedzieli, że Niemcy już opuścili Kielce? Wydawało się to nieprawdopodobne, zwłaszcza przy takim zwarcu bojowym. Wkrótce więcej niespodzianek nas oczekiwało. Zaledwie wróciliśmy z koszar, Focke-

Wulf, dwukadłubowiec, przeleciał wolno i bardzo nisko nad dachami w kierunku południowo-wschodnim, jakby ku frontowi. Nigdy by się nie odważył, gdyby Rosjanie byli w mieście. Można było go zestrzelić zwykłym karabinem maszynowym. Z samolotu na pewno zauważono tłum wokół magazynu. Jeszcze byliśmy pod wrażeniem Focke-Wulfa, gdy ktoś zobaczył Niemca na ulicy. Przykleiliśmy się do okien. Jeźdźcą szedł żołnierz z karabinem zarzuconym na ramię, od strony środka miasta, na zachód. Na wieść o Niemcu, umęczony tłum rozpierzchnął się natychmiast. Strach padł na wszystkich. Jeśli Niemcy wrócą, dadzą nam bobu. Największy strach padł na naszych gospodarzy, bowiem od drzwi magazynu, poprzez otwór w płocie aż do drzwi naszego domu prowadziła biała ścieżka rozsypanej mąki, odcinająca się na tle ciemnej ziemi. To przez ten ostatni worek, który miał dziurę, pewnie wygryzioną przez myszy. Sąsiadom też ciężko zrobiło się na sercu, wszystkim była znana zasada odpowiedzialności zbiorowej. Można nawet było przewidywać, co Niemcy zrobią... wezmą grupę mężczyzn i dla przykładu rozwalą przed wejściem do magazynu, na rozsypanej mące.

Przed godziną sądziłem, że wojna dla mnie skończyła się. Teraz wyglądało, że najgorsze mogło jeszcze przyjść. Stopniowo wszystkie czynności domowe ustały. Zgromadzeni na parterze wsłuchiwaliliśmy się w huk artylerii, który nasilał się w miarę upływu czasu, zbliżał z różnych kierunków, choć wciąż wydawał się odległy. Kanonada musiała zaniepokoić i prosiaka. Chrząkał i pokwikiwał wystarczająco głośno, aby ściągnąć uwagę przechodzących ulicą żołnierzy nie tylko na siebie, ale i na mączną ścieżkę. Aby go uciszyć schodziliśmy od czasu do czasu do piwnicy z jakimś drobnym przysmakiem (wszystko co jadalne było dla niego przysmakiem), aby mu „zatkać ryj”. Skutek był odwrotny, prosiak musiał się czegoś domyślać i głośniejszym chrząkaniem domagał się więcej. Gdyby któryś z domowników był rzeźnikiem, być może mniej ugodowe rozwiązanie wzięto by pod uwagę.

Ciężkie szare chmury zasnuły niebo, zanosilo się na śnieg, pierwszy tej zimy. Przy zapadającym zmroku grzmot armat toczył się pomiędzy chmurami a ziemią. Nikt nie przemykał się ulicą, nikt nie wystawał na podwórkach, lampy uliczne nie zapaliły się. My także nie zapaliliśmy karbidówek, aby nie przyciągnąć uwagi nie tylko Niemców, ale i rosyjskiej artylerii. Pomimo zasłon na oknach zawsze trochę światła wydostawało się przez szpary na zewnątrz. Sąsiedzi

musieli myśleć podobnie, w ciemnych prostokątach okien pobliskich domów nie było widać najmniejszego nawet blasku. Nieprzenikniona ciemność ogarnęła okolicę, nie rozjaśniona ani pożogą, ani światłem gwiazd. Czas mierzyl się nie tykaniem zegara, ale dudnieniem armat, i ani nie posuwał się, ani też nie stał w miejscu. Musiało już być koło północy, gdy zaświstały pierwsze pociski. Naciągnawszy nauszники, czapki, rękawice, futra, palta, kto co miał najcieplejszego, okręciwszy się szalikami zeszliśmy do piwnicy, gdzie było niemal tak mroźno jak na dworze. Od kilku godzin dokuczał mi ból gardła. Musiało mnie zawiąć, gdy spocony dźwigałem worki. Jeśli teraz przemarznię w piwnicy, rozchoruję się na dobre - myślałem - angina, gorączka. A jeśli przyjdzie opuścić dom, jeśli Niemcy nas wygonią, to nie wytrzymam tułaczki. Wbrew protestom domowników wróciłem na parter. Zagrzałem wody, dosypałem soli. Zasiadłem w fotelu w przedpokoju, gdzie dwie ściany osłaniały mnie od strony rosyjskiej artylerii, i płucząc raz po raz gardło, przysłuchiwałem się bitwie. Rów przeciwczołgowy, choć ciemność nie pozwalała rozróżnić szczegółów, wydawał się nie obsadzony. Żadne głosy stamtąd nie dochodziły. Kilka razy zszedłem do piwnicy, na krótko. Ziąb, smród i nerwowa atmosfera wypędzały mnie z powrotem na górę. W piwnicy czułem się cywilem biernie wyczekującym swego losu, członkiem wylęknionej gromady.

Ten prostokątny domek o kształcie krótkiego baraku zawsze był pełen ludzi, ośmioro domowników, nie licząc gości. Teraz ja sam pośród pustych korytarzy i pokoi, przy grzmocie armat czułem się odrobinę jak kapitan okrętu bez załogi i bez steru podczas sztormu. Tu, na górze, wydawało mi się, byłem panem własnego losu, i choć bez broni, bardziej żołnierzem niż cywilem. Cisza, ciepło i ciemność wewnątrz domu odprężyły i usypiały, kontrastując z szalejącą dokoła burzą, od której dzieliły mnie tylko kruche ściany i szkło werandy. Mijały kwadransy, może godziny, front pełzył ku nam powoli. Nikt nie napalił w piecach wieczorem i robiło się coraz chłodniej. Gwizd pocisków zbliżał się i zniżał. Szybki szklanej werandy pobrzękiwały. Trzeba było wracać do piwnicy.

Wkrótce pociski jeszcze bardziej zniżyły lot, rozrywały się niedaleko, na wschód od nas, chyba wzdłuż drogi niemieckiego odwrotu na Częstochowę, przy której stał nasz dom. Huk nabrał ostrości. Bliższym eksplozjom wtórował urywany kwik. Gdy przycichło na krótko, słychać było odległe dudnienie armat,

przytupywanie marznących domowników i pochrząkiwanie prosiaka, który wiercił się nieustannie w swym kojcu. Schody z piwnicy wychodziły na podwórze, z tej właśnie strony strzelała artyleria. Skupiliśmy się wszyscy przy jednej ścianie, aby uniknąć odłamków. Poza kanonadą żadne inne dźwięki nie docierały do piwnicy -ani ludzkie głosy, ani warkot motorów, ani zgrzyt gąsienic. Noc ciągnęła się i ciągnęła. Nikogo nie obchodziło, która była godzina, ile czasu dzieliło nas od świtu. Zegar już nie regulował ludzkiego życia. Pośród huku odróżniłem odległy terkot karabinów maszynowych. A więc teraz front wtacza się na nas swym ostrzem. Gdy przycichło, wszedłem na górę schodami. Noc ustępowała, szarzało. Między naszym domem a magazynem migwały iskry. Szybko cofnąłem się. Nadeszła decydująca chwila. Drzwi celi śmierci, w której żyliśmy od pięciu lat, uchylały się.

Światło dnia już sączyło się do piwnicy, gdy znowu wspiałem się schodami na górę. Wsunąwszy tylko oczy ponad poziom progu rozglądałem się po okolicy. Śnieg padał grubymi płatkami, zacierając ślad mącznej ścieżki. Od strony rowu przeciwczołgowego ukazało się kilku żołnierzy. Od razu rozpoznałem ich po kolorze mundurów i pepeszach.

Przeżyłem wojnę.

Za chwilę byli obok. Wszedłem z piwnicy.

- *Zdrastwujcie towarzyszczi!*

Przystanęli. Spytali o Niemców. Powiedziałem, że od wczoraj ich nie widzieliśmy, po czym dodałem:

- *Pierwuj śnieg idiot, zimuj z soboj priniesli.*

Poszli dalej. Kanonada, która szalała całą noc, ucichła z nastaniem dnia, jakby światło rozpędziło upiory nocy. Nim minął kwadrans, nadciągnęło wielu żołnierzy. Zaprosiliśmy ich do środka. Już nie pamiętam, czy panie coś na prędcie upitrasily, czy też przygrzały konserwy, które żołnierze nieśli ze sobą, czy tylko zaparzyły herbatę. Znalazła się wódka. Młody oficer, dwa lata starszy ode mnie, a już kapitan, w którym dostrzegłem coś z siebie samego, walnął dłonią w dno butelki. Zląkłem się, że szkło pęknie i poharacze mu rękę.

- *Slizkom silno* - ostrzegłem.

- *Eto ruskaja kriepost'* - odpalił.

Walnął jeszcze dwa razy i korek wyskoczył pod sufit. Wychyliliśmy toasty. Rosjanie nie zagrzali długo miejsca, popędzili

dalej. My zaś, trzej bracia i ojczym, ruszyliśmy na miasto, aby coś jeszcze podłapać z ponemieckiego mienia, zanim wystraszeni strzelaniną kielecczanie ochłoną i wyjdą z piwnic. Na zachód, ku Częstochowie, drogę zaścieniały ścięte gałęzie. Na ulicy widać było dużo mundurów, rzadko gdzie cywila.

Jakiś dziadyga, oberwaniec w wytartych łachmanach, z radości podskakiwał w miejscu wykrzykując raz po raz:

- Takie łapserdaki a takich panów pobili.

Obok na niskim murku przycupnęło dwóch żołnierzy. Ich bezruch zwracał uwagę pośród ogólnego pośpiechu. Podszedłem do nich. Odpowiedzieli bardziej po ukraińsku niż po rosyjsku. Obaj byli ranni; właśnie szli całą grupą przez pole, gdy nagle spoza pobliskiego pagórka wyjechał czołg i strzelił z działa. Dwudziestu raziły odłamki. Zaskoczyło to mnie. Niemców, poza jednym żołnierzem, nie widzieliśmy od przedwczoraj, a byli tak blisko. Po chwili przy rannych zatrzymał się oficer, chyba podejrzewał, że markierowali. Coś mu długo tłumaczyli, wciąż siedząc.

Najbliższym niemieckim obiektem, jeszcze przez nas nie spenetrowanym, był gmach gestapo na Focha. Tam też skierowaliśmy swe szybkie kroki, aby ubiec miejscowych szabrowników. Brama stała otworem, a przy niej pusty bunkier. Na próżno przemierzaliśmy pokój za pokojem w poszukiwaniu „zdobyczy”: mundurów, butów, bielizny... czegokolwiek. Jeden z pokoi był wyłożony od środka izolacją, na haku jeszcze wisiała czapka z daszkiem i pejcz, jak w kinie. Już zrezygnowani wychodziliśmy z pustymi rękoma, gdy nagle naszą uwagę zwrócił wspaniały żyrandol w holu, wykuty z brązu, inkrustowany, zawieszony u sufitu na czterech grubych, ozdobnych łańcuchach. Pewnie go gestapowcy ukradli z pałacu albo muzeum. Zdjęcie żyrandola wymagało siły i zręczności. Trzeba było wpiern podsunąć stół, a na nim postawić krzesła, aby dosięgnąć sufitu.

W bramie przy bunkrze zatrzymał nas żołnierz.

- *A wy tak czto zdies dziełajetie?*

Najwidoczniej wziął nas za szabrowników. Ojczym nie stracił rezonu i z miejsca odpalił:

- *Eto majo, Niemcy mnie eto wziali.*

Żołnierz przyjął to oświadczenie za wystarczające i już bez żadnych trudności, przez nikogo nie nagabywani, dotarliśmy do domu, wprawiając gospodarzy w stan oniemia. Żyrandol na razie

złożyliśmy obok prosiaka w piwnicy, dla niepoznaki zarzuciwszy go szmatami.

Ledwo odsapnąwszy, ruszyliśmy z powrotem na miasto, tym razem bez ojczyrna, aby się przejść po bojuwisku, porównać nasze domysły robione w piwnicy z tym co się działo na ulicach, i może co podłapać z odzieży i obuwia. Ze sklepów, przez wybite szyby wystawowe, grupki cywilów wyciągały mizerne towary. Tu i ówdzie rosyjscy żołnierze niezdecydowanie rozpraszali szabrowników. Nieoczekiwana eksplozja szarpnęła powietrzem. Pocisk uderzył w róg Żytniej i Focha, nikomu nie wyrządzając krzywdy. Centrum miasta nosiło ślady zaciętej walki. Mury podziobane odłamkami, jezdnie opryskane gruzem. Blachy pozdzierane z dachów walały się dokoła. Szkielety dwóch wypalonych czołgów stały przy jednym z większych placów. Zerknąłem do środka, pozostały tam tylko przepalone skorupy hełmów. Opancerzenie czołgów wydało mi się bardzo cienkie, niemożliwe żeby to były groźne czołgi rosyjskie T-34.

Kręcąc się po mieście zobaczyliśmy dwóch zabitych Niemców. Zdumiewające, tylko dwóch po takiej bitwie. Jednemu z nich głowę przejechał czołg i zgniótł ją na kształt olbrzymiego naleśnika. U dołu naleśnika szczyrzyły się dwa rzędy zębów, u góry odcinał zarys oczodołów. Inny, blondyn koło trzydziestki, leżał na plecach, półotwarte oczy utkwione w szare niebo, ani śladu krwi, już bez butów i bez czapki. Nieswojo mi było na oczach tyłu ludzi zdjąć mu kurtkę, więc tylko sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem portfel; mieszkał w Monachium. Włożyłem portfel z dowodem z powrotem do kieszeni myśląc, że i tak zapamiętam personalia i po wojnie powiadomię rodzinę. Zaledwie wszedłem na placyk zarzucony gruzem i blachami, gdy Rosjanin złapał mnie za rękaw.

- *Zdies miny* - zawołał wskazując ręką obok, gdzie w małej kałuży krwi leżał żołnierz na własnych oberwanych nogach. Cofający się Niemcy założyli miny pod blachami. Nie było sensu dłużej kręcić się po mieście, tłumy wypełniły ulice, wróciliśmy do domu. Następnego dnia po śniadaniu zdecydowaliśmy obejść górę Kadzielnic, osłaniającą miasto od południa, gdzie, jak słyszałem, toczyły się zacięte walki. Zaraz za ostatnimi opłotkami stała porzucona pantera, pusta, nie uszkodzona, oprócz tego, że w grubym pancerzu z przodu pocisk wybił wgłębienie wielkości pięści i omal nie przebił się do środka. Zajrzałem do kabiny, czy aby czego czołgiści nie zostawili. Dokoła walały się pancerfausty różnych

kalibrów. Na zboczu Kadzielni porośniętej rzadkimi krzakami, w płytkim rowie irygacyjnym wijącym się wzdłuż wąskiej drogi leżał młody Niemiec, już bez butów, bez czapki i nawet bez kurtki, w spodniach tylko i w rozpiętej na piersiach koszuli, spod której wyglądało jaskrawo brązowe ciało, jak opalona pomarańcza, gdyby pomarańcza mogła się opalić. Nigdy takiego koloru na żywym człowieku nie widziałem. Zapewne dopiero co wrócił z urlopu w Alpach, bo gdzie indziej zimą operuje takie silne słońce. Wyglądałby jak zwalony posąg atlety, gdyby nie zamrożnięta krew na spodniach i odstrzelony czubek głowy. Rozejrzałem się dokoła, przeszedłem kilkadziesiąt metrów drogą. Wzdłuż rowu irygacyjnego mieniły się zamrożnięte rubinowe kropelki. Odnalazłem miejsce, gdzie dostał postrzał w brzuch i skąd czołgał się rowem krwawiąc, aż go dopadli wrogowie. Spróbowałem zdjąć koszulę. Sztywny był jak deska, ani mu zgąć ramion. Przy opukiwaniu ciało wydawało odgłos drewnianego manekina.

W ciągu pierwszych dni coraz to gościliśmy rosyjskich żołnierzy. Wpadali z drogi po kilku, czasem kilkunastu, głodni, zmarznięci, z własnym prowiantem. Panie odgrzewały konserwy, zaparzały herbatę. Szybko jedli i dalej na zachód. Raz jeden z żołnierzy wsadził do kieszeni kilka łyżek, widelcy i noży. Nie uszło to uwagi gospodyni. Żołnierz oddał wszystko, wyrażając przy tym zdumienie, że cudza własność znalazła się w jego kieszeni.

Następne dni już niewiele przyniosły zmian. Front oddalał się z niebywałą szybkością.

*

Na krótko zakwaterował u nas ze swoim ordynansem major tyłowej formacji, człowiek w średnim wieku. Obaj spali na materacach na podłodze w korytarzyku. Urządziliśmy im przyjęcie. Produkty mączne i konserwy stanowiły podstawę, prosiakowi udało się i tym razem. Karafki z wiśniakiem, śliwowicą, jarzębinówką barwnie odcinały się na tle białego obrusa. Ojczym wzniosł toast za zdrowie Stalina, wszyscy zauważyli jak major od razu zmarkotniał.

Gospodarz, człowiek rozmowny, znający rosyjski, omal że nie dostał się w tarapaty. Któregoś dnia przyszło NKWD sprawdzić kto on zacz. Ktoś doniósł, że wypytywał się żołnierzy skąd pochodzą, dokąd idą.

Nie minął dzień od zajęcia Kielc przez Rosjan, gdy przy magazynie stanął wartownik. Ku mojemu zaskoczeniu do

opuszczonej siedziby gestapo wprowadził się urząd bezpieczeństwa.

Na ścianach przy wejściu do nowych urzędów przybijano tabliczki z białym orłem bez korony. Pojawiła się milicja obywatelska w szaro-niebieskich mundurach.

Na skrzyżowaniach Rosjanie ustawili znaki drogowe w formie strzał zwróconych ostrzem w kierunku marszu wojsk na zachód. Na strzałach znajdował się napis „Berlin” i odległość w kilometrach. W kilku punktach miasta stały opatulone dziewczyny w walonkach, kierując ruchem pojazdów. Zapewne, aby wzmocnić ich autorytet, ustawiono tablice z napisem: „Signal regulowszczyka prikaz”. Już masa piechoty przewaliła się na zachód, już padła Częstochowa, Łódź, Katowice, gdy śladem piechoty pogoniła artyleria. Przez dziesięć dni przed naszym domem jechały armaty przyłączone do ciągników. Tysiące armat.

Wkrótce przenieśliśmy się do mieszkania na ulicy Żytniej, opuszczonego przez folksdojczów. Prosiak pozostał u gospodarzy i słyszałem, że przeżył Wielkanoc.

Żyrandol wzięliśmy na nowe miejsce. Przez całe lata towarzyszył w przeprowadzkach naszej rodzinie. Zbyt ciężki, by go powiesić na zwykłym suficie, przy tym zbyt wartościowy, by go komu pokazać. Raz, przy próbie sprzedaży, ledwo uniknęliśmy konfiskaty na rzecz muzeum. Zalegał więc w piwnicach pod kartoflami - ani Bogu, ani ludziom.